

WSPOMINAM POWSTANIE WARSZAWSKIE

Pamiętny dzień 1 sierpnia 1944 roku zaczął się dla mnie i mojej rodziny zwyczajnie, chociaż była to zwyczajność okupacyjna. Mieszkałem wraz z rodzicami i babcią, matką mojej matki, w Warszawie, na Żoliborzu przy ul. Słowackiego 27/33 w budynku mieszkalnym Spółdzielni Mieszkaniowej ZIMOWE LEŻE, który był kształtu grubej, przewróconej na bok lit. L, o dłuższym ramieniu leżącym wzdłuż ulicy Słowackiego (pięć klatek schodowych, o numerach: 3 – 7), i krótszym leżącym wzdłuż ulicy Poczubutta (dwie klatki schodowe o numerach: 1 – 2)¹. Nasze mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze ostatniej siódmej klatki schodowej w części budynku przy ulicy Słowackiego². W ostatnich dniach lipca, zamieszkał u nas bratanek mamy Jurek L.³, starszy ode mnie o 4 lata. Rano wyszedł do pracy mój ojciec, i to było ostateczne z nim widzenie. Nigdy więcej go już nie zobaczyłem. Jezdnia ul. Słowackiego opustoszała – ustał, widoczny jeszcze w dniu wczorajszym, pospieszny odwrót wojska niemieckiego.

Był to również pierwszy dzień drugiego miesiąca moich wakacji po ukończeniu szóstej klasy szkoły powszechnej, co uprawniało mnie do wstąpienia do gimnazjum. Byłem „absolwentem” (tak to wielkie słowo, dla ucznia, który przebrnął przez powszechniak, ale tak właśnie czułem się) żoliborskiej prywatnej Szkoły Powszechnej Ostaszewskiej, która działała mimo zakazu okupanta prowadzenia szkolnictwa prywatnego. Piątą klasę przerabialiśmy jeszcze częściowo jawnie, z lekcjami z geografii i historii już tajnymi, odbywającymi się w mieszkaniach prywatnych. Lekcje te prowadziły nasze nauczycielki, dwie siostry: p. Barbara, geografkę i p. Wanda, historię. Wobec zaostżenia kontroli przez okupanta, szóstą klasę przerabialiśmy już całkowicie na tajnych kompletach z jedną nauczycielką p. Stefą, która miała opinię nauczycielki wyjątkowo surowej i bezlitosnej dla uczniów. Taką opinię przekazali nam poprzednicy, których w szóstej klasie uczyła języka polskiego, historii i innych przedmiotów. Na lekcje uczęszczaliśmy niecodziennie w małych grupach, a odbywały się one w mieszkaniach prywatnych naszych rodziców. Oczywiście p. Stefa pracowała codziennie. Już pierwsze spotkanie z nią obaliło mit o jej wyjątkowej surowości. Polubiliśmy ją już od pierwszej lekcji z nią, obiecując solennie, że naszym następcom przekażemy równie paskudną o niej opinię, aby tak jak my, mile rozczarowali się. Jej sposób prowadzenia lekcji był zupełnie inny, niż naszych poprzednich nauczycielek. Była bardzo wymagająca, ale życzliwa. Musieliśmy dużo czytać, ponieważ p. Stefa urządzała konkursy literackie, a jeden taki wgrałem, ponieważ moje streszczenie rozdziału Bitwa książki Molnara pt. Chłopcy Z Placu Broni, było najkrótsze. Często w lekcjach z rachunków i przyrody nieożywionej (wprowadzenie do fizyki i chemii) pomagał jej mąż – inżynier, równie sympatyczny jak ona. Na lekcjach historii rozgrywaliśmy na stole ważne bitwy, z zastosowaniem żołnierzy ołowianych, i nie przeszkadzało nam to, że legioniści rzymscy byli wyposażeni w karabiny, ponieważ w wyobraźni naszej mieli dzidy, miecze i tarcze.

Z p. Stefą i jej mężem spotkaliśmy się pod koniec czerwca, na zakończenie roku szkolnego. Wręczyła nam świadectwa ukończenia szkoły powszechnej wypisane dwustronnie na kartce kratkowanego papieru (mała kratka z notatnika akademickiego) z jej nieczytelnym podpisem. Umawialiśmy się na spotkanie pod koniec sierpnia (dokładnej daty już nie pamiętam), Miała nam poradzić jakie wybrać gimnazjum tajne, a może nawet już jawne, ponieważ w niektóre dni z daleka od wschodu dochodził przytłumiony huk armat, co budziło nadzieję na nadejście wyzwolenia w ciągu wakacji. Nie wiedzieliśmy wtedy, że było to ostateczne spotkanie z naszą ulubioną nauczycielką i jej sympatycznym mężem.

Ale wróć do pierwszego dnia Powstania, dnia który zachwiał moim życiem chłopięcym, i był początkiem strasznych wydarzeń, które je zburzyło, wymuszając wczesną niezbyt dojrzałą dorosłość.

Około godziny pierwszej po południu wyszliśmy z Jurkiem na balkon od strony przeciwnej do ul. Słowackiego, z niego mieliśmy widok nie tylko na domowy park, utrzymywany w doskonałym stanie

1 Obecnie ZIMOWE LEŻE ma dodatkowy budynek a dawny budynek uzupełniono o dodatkowy element – wieżowiec, z nową klatką schodową.

2 Jeżeli dobrze zapamiętałem, to nasze mieszkanie miało nr 74.

3 Syn Tadeusza L. rodzzonego brata mojej matki.

przez naszego dozorcę p. B., ale także na wojskowy rejon parterowych, nieotynkowanych budynków obudowanych wałami, w których zamieszkiwali wojskowi rezerwiści z rodzinami. Zachodnim skrajem tego terenu wojskowego, nazywanego potocznie „Teremem”, przebiegała wysadzana drzewami droga do ogródków działkowych, która wybiegała z ul. Słowackiego, koło naszego domu jako ulica Harcerska. Za działkami widoczny był klasztor Zmartwychwstaniek. Po drugiej stronie ulicy Harcerskiej znajdował się dom zwany Domem Pod Piątką, położony wzdłuż ulicy Słowackiego, ale dostęp do klatek schodowych był od podwórza, na które wchodziło się szeroką bramą od ulicy Harcerskiej.

Rozglądając się, w pewnej chwili zauważyliśmy mały ciężarowy samochód z otwartą skrzynią ładunkową, który wjechał na ul. Harcerską od strony ul. Słowackiego i po obróceniu się o 180° zatrzymał się naprzeciw bramy Domu Pod Piątką. Z szoferki wysiadł mężczyzna w długim jasnobezowym płaszczu, zwanym wtedy „kurzowcem”, wszedł na skrzynię, wyjął spod płaszcza pistolet maszynowy, oparł go o szoferkę, kierując jego lufę w stronę ulicy Słowackiego, natomiast kierowca pozostał w samochodzie. Wtedy z podwórka Domu pod Piątką, wybiegli dwaj ludzie w kurzowcach z długimi pakunkami, owiniętymi szarym papierem, ze znacznym rozszerzeniem u dołu, i ułożyli je w skrzyni. Równocześnie z Jurkiem rzekliśmy: karabiny! Później pojawiło się więcej mężczyzn w kurzowcach, którzy ładowali na skrzynię „półciężarówki” różne paczki. Po załadowaniu ich, wszyscy zajęli miejsca w samochodzie, jeden w szoferce, pozostali na skrzyni, z wyciągniętymi pistoletami maszynowymi i samochód odjechał. Zrozumieliśmy, że coś zaczęło dziać się.

Po obiedzie, około godziny trzeciej usłyszeliśmy szcęk gąsienic. Wyjrzelśmy i zobaczyliśmy czołg jadący ul. Słowackiego od strony Bielania. Czołg zatrzymał się pod naszym domem i wystrzelił z działa w stronę placu Wilsona, następnie ruszył, i pod przejechaniem kilkudziesięciu metrów znów wpadł strzał z jego działa. Po wystrzeleniu jeszcze dwu, a może trzykrotnie, wycofał się w stronę Bielania. Później wybuchła odległa strzelanina z broni maszynowej. Słychać też było wybuchy pocisków z dział. Około godziny piątej po południu na ulicy pojawiali się ludzie różnorodnie umundurowani i różnie uzbrojeni, z białoczerwonymi opaskami na rękawach. Tak dla nas, w okolicy naszego domu na Żoliborzu, wyglądał początek Powstania Warszawskiego.

W następnych dniach mieszkańcy naszego domu zaczęli przenosić się do piwnic, ponieważ dom od strony południowej był ostrzeliwany przez artylerię niemiecką i snajperów, oraz pojawiły się pierwsze ofiary tego ostrzału. W świetlicy znajdującej się na poziomie piwnicznym zakwaterowali się uchodźcy z domków z Terenu.

Nasza piwnica sąsiadowała z mieszkaniem fryzjera p. Z., znajdującym się podobnie jak mieszkanie dozorcę p. B. w suterenie, była pomieszczeniem obszernym. Jedyne jej okienko, wychodzące na ul. Słowackiego, było zamknięte na stałe i zabezpieczone nasypną i utwardzoną ziemią, po pierwszym nalocie radzieckiego lotnictwa na Warszawę⁴. Sąsiadowała z nią druga piwnica albo może dwie mniejsze piwnice, które znajdowały się wraz z naszą, w boksie oddzielonym od korytarza piwnicznego drzwiami. W naszej piwnicy na wprost drzwi znajdowała się obszerna, kilkupoziomowa półka, na której było mnóstwo przetworów owocowych i wojenne zapasy żywnościowe, głównie cukier i mąka. Pod oknem znajdowała się sęta węgla, ma której matka ułożyła dwa materace, służące mnie i Jurkowi jako posłanie. Obok sęty węgla stało łóżko polowe, na którym sypiała babcia, natomiast mama miała posłanie na fotelu ogrodowym z podnóżkiem. Pościel na dzień była składana na łóżku i przykrywana kocem, jak materace na węglu.

Gotowanie wody i potraw dla wielu mieszkańców sąsiednich piwnic odbywało się w kuchni p. Z., co też dobroczynnie wpływało na zmniejszanie się stromości sęty węgla w naszej piwnicy, poprawiając warunki mojego i Jurka spania na węglu.

Pojawiła się potrzeba organizacji piwnicznego życia mieszkańców i uchodźców z Terenu, ponieważ na poziomie piwnic znajdowały się tylko trzy kuchnie z piecami węglowymi (pralnia oraz mieszkania dozorcę i fryzjera), oraz tylko dwie kuchnie gazowe, dwupalnikowe (mieszkania dozorcę i fryzjera). Lepiej było z dopływem wody, ponieważ oprócz kranów kuchennych i pryszniców w mieszkaniach

⁴ Obecnie to okienko piwniczne nie istnieje, nawet nie ma po nim śladu na zewnętrznej ścianie budynku.

dozorcy i fryzjera, były krany i prysznic w pralni. Były tylko trzy miski sedesowe na poziomie piwnic (w pralni oraz w mieszkaniach dozorczy i fryzjera). Korzystne było to, że większość łazienek wraz z wannami, umywalkami i miskami sedesowymi w mieszkaniach, znajdowała się po stronie ulicy Słowackiego, a więc przy zachowaniu ostrożności ruch związany z ich użytkowaniem nie był dostrzegany przez niemieckich obserwatorów artyleryjskich i snajperów, ulokowanych prawdopodobnie na poddaszach budynków i na obwałowaniach na Terenie. Ruch w pomieszczeniach od strony Terenu w ciągu dnia powodował strzały snajperskie albo armatnie. W nocy trzeba było zamknąć drzwi do pomieszczeń od strony Terenu, ponieważ otwieranie drzwi do pomieszczeń od strony ul. Słowackiego powodowało widoczne odbłaski światła, na co też reagowali snajperzy niemieccy.

Organizacją życia mieszkańców i uchodźców z Terenu zajęli się Prezes Spółdzielni⁵, darzony powszechnym szacunkiem, oraz p. B. dozorca naszego domu a także stryj mojej matki Mieczysław L., zamieszkały wraz z żoną, stryjenką Michaliną i córką Lusią w części naszego budynku, przy ul. Poczobutta (na pierwszej klatce schodowej), który swoje organizacyjne talenty naturalnego przywódcy ujawnił już w 1939 roku jako szef obrony przeciwlotniczej. Ale stryj Mietek wkrótce został wyłączony na zawsze, o czym niżej. Do Prezesa dołączył Pan Major, oficer rezerwy, uchodźca z Terenu, który oświadczył, że mimo oficerskiego stopnia wojskowego nie jest żołnierzem ale administratorem, i do walki nie nadaje się, wobec czego zgłasza się jako opiekun wodociągów, oraz zlewów i sedesów. Te obowiązki spełniał Pan Major z oddaniem i niezwykle starannie, co budziło powszechny szacunek, a ktoś, kto nazwał go złośliwie majorem klozetowym, spotkał się z surową reprimendą sąsiadów. Początkowo Pan Major zajmował się inspekcją oraz kierowaniem pracą dwóch młodzieńców – kilkunastoletków, którzy przypadkiem schronili się w naszym domu, gdy wybuchło Powstanie i zostali przyhołubieni przez mieszkańców. Z wdzięczności podejmowali się każdej pracy, której mogli podołać. Gdy zakończyło się funkcjonowanie wodociągów, woda była donoszona wiadrami i konewkami z sąsiednich domów, gdzie na podwórkach były pompy ręczne, Pan Major zajął się również organizacją dostawy wody, i jej rozdzielaniem wśród mieszkańców. Pilnował również, aby do sedesów nie trafiały odpady, które mogły uczynić je niedrożnymi. Sławna stała się jego humorystyczna uwaga, skierowana do jednej z pań, która usiłowała wrzucić do sedesu buraki z zupy: „Szanowna Pani, tutaj do sedesu można wyrzucać buraczki tylko dokładnie strawione!”. Często zdarzało mu się zakasywać rękawy i osobiście pracować przy udrażnianiu sedesu albo zlewu wraz ze swoimi pomocnikami.

W pierwszych dniach Powstania przeżywaliśmy euforię wolności od okupanta. Było to udziałem nie tylko chłopców i dziewcząt mojego pokolenia, ale także u ludzi starszych. Pojawili się polscy żołnierze z białą czerwonymi opaskami na rękawach i uzbrojeni, niektórzy nawet w polskich mundurach. Dowiedzieliśmy się, że na ul. Krasieńskiego odbyła się defilada polskiego wojska. Później zaczęły dochodzić także złe wieści. Przyszedł żołnierz AK z podziękowaniem za schronienie, jakie mieszkańcy naszego domu udzielili jemu i jego koledze po ich walce z żołnierzami Wehrmachtu w tramwaju na przystanku przy ulicy Słowackiego naprzeciw naszego domu, ale to podziękowanie złożył także w imieniu kolegi, który „właśnie wczoraj zginął”. Pojawili się też koledzy ojca w drodze ze Śródmieścia na Bielany, informując, że na Wiadukcie Gdańskim napotkali wśród licznych zwłok, trupa przyjaciela mojego ojca, który był ich sąsiadem. Zabrali z sobą jego kenkartę⁶, a legitymację pracowniczą ze zdjęciem zostawili przy zwłokach. Później zaczęły się poranienia i śmierci naszych sąsiadów w różnych okolicznościach i w różny sposób, od kuli snajpera, pocisku artyleryjskiego, czy porażenia gruzem.

Gdy jeszcze działały telefony, stryj Mietek został wezwany do synowej Ireny L., która właśnie zachorowała, i nie mogła opiekować się dwojgiem małych dzieci. Mieszkała na Bielanych przy ul. Marymonckiej, w domu wielorodzinnym naprzeciw Centralnego Instytut Wychowania Fizycznego⁷, którego obiekt był zajęty przez jednostkę Luftwaffe, obsługującą lotnisko na Bielanych. Jej mąż, syn stryja Mietka⁸, jako oficer rezerwy i akowiec, został zmobilizowany, i zgłosił się do swej jednostki na

5 Jego nazwisko zatarło się w mej pamięci.

6 Dowód tożsamości wraz z fotografią posiadacza, wystawiany w języku polskim i niemieckim przez niemieckie władze okupacyjne.

7 Obecnie Akademia Wychowania Fizycznego

8 Jerzy L.

Starym Mieście dnia 1 sierpnia. O ile dobrze pamiętam, w naszym budynku były dwie linie telefoniczne. Jeden telefon był w mieszkaniu naszej sąsiadki p. S., sędziny, a drugi w mieszkaniu położonym bliżej ulicy Poczobutta. W obu mieszkaniach były pełnione dyżury.

Stryj Mietek wyruszył pieszo do synowej Ireny zabierając teczkę z jakimiś wiktuałami. Gdy dochodził do jej domu został zatrzymany przez wartownika Luftwaffe, który na drugiej stronie ulicy pełnił służbę. Kazał Stryjowi przejść do siebie, następnie zrewidował i wylegitymował Stryja, który znał doskonale język niemiecki, i w tym języku z nim rozmawiał, po czym kazał mu się odwrócić i iść przed siebie, a po chwili strzelił, i trafił w głowę zabijając. Taką wiadomość przekazała nam telefonicznie ciotka Irena, która wprawdzie nie widziała tego zdarzenia, ponieważ okna jej mieszkania nie wychodziły na ulicę, a o zdarzeniu dowiedziała się od sąsiadek, które miały okna z widokiem na ulicę Marymoncką i Centralny Instytut Wychowania Fizycznego, zajęty przez jednostkę Luftwaffe.

Pod naszym domem przebiegał korytarz piwniczny, z którego było wyjście na każdą klatkę schodową oraz dwa wyjścia na podwórko, jedno z dłuższego ramienia budynku i jedno z krótszego. Już na początku Powstania na polecenie władz powstańczych zbudowano barykadę w poprzek ulicy Słowackiego, na skrzyżowaniu z ulicą Poczobutta, w taki sposób, że do klatek schodowych przy tej ulicy był tylko dostęp z niej. W ten sposób korytarz piwniczny stał się bezpieczną arterią dla ruchu żołnierzy Powstania i innych osób.

W pierwszych dniach Powstania kilka razy przechodził tą arterią ks. Tadeusz Rostworowski, jako kapelan powstańców. Na głowie miał polski hełm żołnierza piechoty, pomalowany na czarno, na jego sutannie miał założony wojskowy szeroki pas, na którym wisiał pojemnik z magazynkami do niemieckiego pistoletu maszynowego, zawieszony na ramieniu, a za pasem miał zatknięte końce stuły i niemiecki ręczny granat zwany tłuczkiem do kartofli. Księżda Rostworowskiego poznałem jako katechetę na tajnych kompletach naszej nauki w szóstej klasie powszechniaka. Przebiegając korytarzem obok mnie, pobłogosławił mnie znakiem krzyża.

Kilkakrotnie przez korytarz przebiegał też powstaniec – starszy kolega z powszechniaka, który ukończył „Ostaszewską”, gdy byłem uczniem trzeciej a może już czwartej klasy, o pseudonimie Salamon, który po wojnie ożenił się z moją siostrą cioteczną, córką siostry mojego ojca

Pewnego dnia przed domem pojawili się Niemcy i z głośnym wrzaskiem: „*alle raus!*” wygonili nas z piwnic i pognali w kierunku barykady z głośnym rozkazem rozberania jej, a do barykady strzelały ich czterolufowe, małokalibrowe działka szybkostrzelne, zabudowane na samochodach. Zanim doszliśmy do barykady, z tyłu odezwał się karabin maszynowy, jak się okazało powstańczy⁹, i Niemcy zaczęli padać. Z za barykady powstańcy rozpoczęli ostrzeliwanie Niemców, którzy rozpoczęli odwrót się pod osłoną ognia z działek, zabierając swych rannych i może zabitych.

To „*alle raus!*”, wraz z innymi strasznymi obrazami wypędzania nas z domu pojawiała się w moich snach jeszcze w późnym okresie dorosłości.

Po tym incydencie zapadła, i została wykonana decyzja zbudowania barykady przecinającej ulicę Słowackiego naprzeciw ulicy Harcerskiej. Prace były zorganizowane i kierowane przez triumwirat: Prezes, Pan Major i p. B., a uczestniczyli w nich wszyscy chętni. Prace prowadzone były głównie w nocy. Wykopano rów przeciwczołgowy, wydobyta ziemia posłużyła na nasyp umocniony płytami chodnikowymi i płytami asfaltu oraz pniami ściętych topoli. Barykada zapobiegła wjazdowi pojazdów niemieckich na ulicę Słowackiego na przeciw naszego domu, oraz poprawiła komunikację powstańców z ich północnymi placówkami.

Życie mieszkańców naszego domu, wraz z upływem dni stawało się coraz cięższe. Już nie pamiętam w jakiej kolejności ustawały dopływ wody, gazu i elektryczności. Mądre elastyczne kierownictwo Prezesa, było wspomagane przez Pana Majora i p. B., którego pozycja w organizacji życia w budynku, daleko wybiegała poza formalne dozorcstwo. To kierownictwo było akceptowane przez ogół mieszkańców i uchodźców z Terenu.

⁹ Strzelano z niego z otwartego wejścia na naszą siódmą klatkę schodową.

Zorganizowane zostało donoszenie wody wiadrami ze studni, znajdujących się w innych budynkach, niektórych odległych, przy których były kolejki donosicieli z różnych żoliborskich domów. Mieszkańcy ZIMOWEGO LEŻA chętnie dzielili się między sobą i z uchodźcami z Terenu swymi zapasami, nie tylko żywności, ale także karbidu albo nafty do lamp, świecami, oraz drewnem i węglem opałowym¹⁰, wykorzystywanym w trzech dostępnych kuchniach na poziomie piwnicznym.

Ale we wrześniu zabrakło Prezesa i p. B., wobec czego obowiązki organizacyjne spadły na Pana Majora, który okazał się świetnym organizatorem, o cechach naturalnego przywódcy, życzliwego dla środowiska, człowieka o rozwiniętym poczuciu humoru, co pozwalało mu rozładowywać napięcia między piwnicznymi mieszkańcami, powodowane niedogodnościami warunków życiowych.

Prezes, oficer rezerwy, i p. B., podoficer rezerwy, zgłosili się ochotniczo do udziału w Powstaniu dnia 14 września, i niezwłocznie podjęli służbę powstańczą na dolnym Żoliborzu, gdzie od początku Postania trwały krwawe walki o wybrzeże wiślane, powodujące duże straty wśród powstańców. Już następnego dnia obaj zginęli, podobno w wybuchu tego samego pocisku armatniego. Wieść o ich tragicznej śmierci, dotarła do nas już tego samego dnia 15 września pod wieczór, powodując nie tylko rozpacz obu wdów i osieroconej Hani B., naszej podwórkowej koleżanki, ale również niemal wszystkich mieszkańców domu i uchodźców z Terenu. Obie panie, prezesowa i dozorcowa, razem przeżywały w objęciach tę niespodziewaną tragedię.

Przez nas dzieciaków podwórkowych i chyba przez dorosłych mieszkańców rodzina p. B. była uważana za ważnych przyjaciół. P. B. znał się na wszystkim: utrzymywał nasz podwórkowy park w stanie, którego nie powstydziliby się żaden renomowany ogrodnik, skutecznie radził sobie z hydrauliką, elektrycznością, instalacją gazową, naprawami murarskimi i stolarskimi, zamkami, i z całą domową techniką. W pogodne dni, gdy cała domowa dzieciarnia była na podwórku, był naszym nieformalnym opiekunem i wychowawcą. Dawał nam pokosić trawę ręczną kosiarką, pomagał w drobnych naprawach i regulacjach rowerów, ratował w chłopczyńskich upadkach. Łagodził też nasze dziecięce konflikty, w zależności od ich rodzaju, humorem albo dobrą radą, a nawet ojcowskim pogrożeniem palcem. Gdy spadłem z roweru na szeroki kolczasty żywopłot, a każda próba samodzielnego wydostania się z tego „pokutnego posłania” wywoływała nieznośny ból, powodowany licznymi nakłuciami, przybiegła na moje wrzaski, i wyciągnął mnie na ziemię. Następnie pani B. opatrzyła moje skaleczenia tak, że gdy później wróciłem do domu, matka nie miała tematu do wymówek. Hania B. była członkinią dziewczęńskiej części podwórkowej społeczności.

Zrozumiałem, i jak sądzę moi podwórkowi koledzy i koleżanki także, że bez p. B. nasz dziecięcy świat nie będzie już taki sam, jak przed tą tragedią, ale nie zdawaliśmy jeszcze sobie sprawy z tego, że właściwie, już tego świata nie będzie.

Dalsze dni przebiegały w narastającej świadomości, że Powstanie nie zakończy się polskim zwycięstwem. Coraz trudniej było z dostawą wody i stopniowo wyczerpywały się zapasy. Codziennie dochodziły wieści o walkach na obrzeżach Żoliborza, o stratach jakie ponosili powstańcy, o przechodzeniu pozycji tj. poszczególnych domów z rak do rąk. Docierały też wieści o zbrodniach popełnianych przez Niemców i „ukraińców”¹¹, także tych, popełnionych najbliżej nas na Marymoncie i dolnym Żoliborzu, gdzie byli masowo mordowani mieszkańcy.

Zmieniło się też uzbrojenie powstańców. Odniosłem wrażenie, że byli lepiej uzbrojeni – mieli więcej broni. To chyba nie tylko był efekt strat ludzkich i wyczerpywania się zapasów amunicji do broni niemieckiej, ale także zrzutów broni z „kukuźników”¹², ponieważ broń radziecka zaczęła dominować w ich uzbrojeniu. Więcej mieli pistoletów maszynowych, głównie „pepesz” (*PPSz*) i mniej *PPS*, a ręczne

10 Tego rodzaju zapasy były w czasach okupacji były gromadzone przez wszystkich, którzy mieli takie możliwości. W naszej piwnicy były także przetwory owocowe – efekt działkowej gospodarki.

11 „Ukraińcami” albo „własowcami” nazywano wówczas potocznie oddziały brygady Mieczysława Kamińskiego, złożone z ochotników – jeńców Armii Czerwonej, o różnej narodowości.

12 „Kukuźnikiem” nazywano dwupłatowy i dwuosobowy samolot radziecki typu Po-2.

karabiny maszynowe niemieckie MG zostały zastąpione radzieckimi *DP (Diegtiariov Piechotnyj)* z magazynkiem talerzowym. Posiadali też rusznice przeciwpancerne (nieliczne egzemplarze).

Zmieniał się też wygląd powstańców. Nie tylko o ubiór chodzi. Na ich twarzach nie rysował się już entuzjazm, i zapał do walki o zwycięstwo. Dominował wyraz zmęczenia, beznadziejności, bezsensu walki, oraz, jak obecnie to oceniam, ciężkiej konieczności wytrwania do końca w żołnierskim obowiązku. Gdy przechodzili przez nasz korytarz piwniczny, nie widać było już tej energii i entuzjazmu, które rzucały się nam w oczy na początku Powstania. Wielu z nich miało widoczne opatrunki, świadczące o lżejszych zranieniach, nieeliminujących ich z walki. Wprawdzie w okolicach naszego ZIMOWEGO LEŻA, poza opisaną wyżej przypadkiem nie toczyły się walki, ale już na pobliskim Marymoncie, graniczący dolnym Żoliborzem powstańcy walczyli z siłami okupanta. Głównym ośrodkiem oporu powstańczego w tym rejonie była Wyższa Szkoła Służby Pożarniczej u zbiegu ulic Słowackiego i Gdańskiej oraz Hala Marymoncka i zakłady Opla na ul. Włociańskiej.

Pewnego dnia pojawili się w towarzystwie powstańców dwaj żołnierze Armii Czerwonej, jeden z radiostacją a drugi z lornetkami. Jak dowiedzieliśmy się, ich zadaniem było kierowanie ogniem radzieckiej artylerii. Powstańcy wprowadzili ich na strych przez naszą klatkę schodową, a pod wieczór w towarzystwie powstańców opuścili nasz dom. Dowiedzieliśmy się, że w następnych dniach będą swe zadania wykonywali na strychach innych domów, z których był widok na pozycje niemieckiej artylerii na Powązkach.

Zmieniały się też nastroje mieszkańców. Więcej było sąsiedzkiego milczenia a mniej sąsiedzkich rozmów, w zasadzie ograniczanych tylko do potrzeb wynikających z wzajemnego wspierania się.

W końcu września nasiliły się walki naszym rejonie. Niemcy próbowali opanowywać powstańcze pozycje w budynkach mieszkalnych Żoliborza, i w wielu przypadkach udawało się im to. Stan posiadania powstańców kurczył się, chociaż często odzyskiwali na krótko utracone pozycje. W tych dniach nasze ZIMOWE LEŻE było atakowane od strony Terenu, przy wsparciu czołgu, a może działa pancernego. Pocisk wystrzelony z jego działa trafił między dwa okna świetlicy, znajdującej się na poziomie piwnicznym, miejsca zamieszkania uchodźców z Terenu. Gruba ściana nie została przebita, a jedynie jej struktura została naruszona tak, że powstało wybrzuszenie i odpadł tynk, odsłaniając cegły. Podmuch z pocisku odsypał ziemię z sąsiednich okien, co spowodowało ich odsłonięcie i wypadnięcie z nich szyb. Ataki były odpierane ogniem broni maszynowej powstańców, chyba na tyle skutecznym albo może tylko groźnym dla atakujących okupantów, że ich ataki nie doprowadziły do opanowania budynku.

W tym czasie, może 28 września, na róg naszego domu (ulice Słowackiego i Poczobutta) spadła bomba lotnicza zgubiona przez SZTUKASA, jednego z kilku, które leciały wzdłuż ul. Słowackiego, po zbombardowaniu domów przy ul. Krasińskiego i przy pl. Wilsona. Zniszczone zostały mieszkania na trzecim piętrze, w tym mieszkanie p. Lw., gdzie we wnęce zostały przez p. B. zamurowane lampowe odbiorniki radiowe mieszkańców, również nasz TELEFUNKEN.

Dnia 29 września w godzinach przedpołudniowych powstańcy opuścili nasz dom. Wkrótce w budynku pojawili się Niemcy, którzy nakazali nam opuszczenie domu, informując, że możemy zabrać tylko bagaż podręczny. Kazali nam wychodzić na podwórko, na którym formowano z nas kolumnę. Niemców było wielu i chodzili wśród nas. Rozejrzałem się, i na trzecim piętrze w oknie rozwalonym wybuchem pocisku armatniego dostrzegłem przyklejony do resztek framugi skalp sąsiadki wraz z pękiem bardzo długich włosów. Wprawdzie wiedziałem o tym nieszczęśliwym zdarzeniu, nieświadomej niebezpieczeństwa leciwej pani, która wybrała się do mieszkania, aby umyć okna wychodzące na podwórko, ale dopiero widok tragicznego skutku tej nieostrożności, był dla mnie wstrząsający. Gdy już niemal wszyscy mieszkańcy znaleźli się na podwórku wśród nas i żołnierzy niemieckich zaczęły gęsto padać pociski i wybuchać. Przypomniałem sobie, że przed kilku dniami przez nasz budynek przechodzili powstańcy, którzy na plecach mieli w eleganckich workach moździerze z czarno oksydowanymi lufami o kalibrze ok. 6 cm., a inni nieśli skrzynki z widocznymi w nich niewielkimi pociskami. Zapytani, co to za broń odpowiedzieli, że są to moździerze amerykańskie ze zrzutów z radzieckich „kukuźników”.

Pojawiły się wśród nas i wśród Niemców ofiary tego ostrzału. Wszyscy zaczęli się modlić głośno, żołnierze niemieccy też. Wtedy zrodziła się u mnie niewiara w skuteczność modlitwy – modlili się wszyscy, a obrywali tylko niektórzy. Wybuchy pocisków przenosiły się w stronę części budynku, przyległej do ulicy Poczobutta. Na balkonie mieszkania na pierwszym piętrze, na drugiej klatce schodowej w tej właśnie części budynku, ukazały się dwie babcie „H.”¹³, które w najlepsze obserwowały wydarzenia, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Były to babcie dwóch naszych niekochanych koleżanek, które nas chłopców przeżywały, i były, co uważaliśmy za zachowanie niehonorowe, ponieważ podwórkowy, chłopięcy *savoir-vivre*, wykluczał dopuszczalność uderzenia dziewczynki nawet w samoobronie, o czym one doskonale wiedziały. Ale ich babcie były przez naszą podwórkową dziecięcą społeczność bardzo lubiane nie tylko dla tego, że starały się powstrzymać wybryki swoich wnuczek, ale też miały dla nas dobre słowo i wedłowskie cukierki wiosenne. Widząc je na balkonie, p. D., ich sąsiad postanowił wrócić do budynku, mimo protestu swej siostry, i za zgodą niemieckiego oficera poszedł po babcie – swoje sąsiadki. Ukazał się na balkonie, i wyprowadził obie babcie do mieszkania, a po chwili wrócił na balkon, może z zamiarem zabrania pozostawionego tam jakiegoś przedmiotu¹⁴. Wtedy w balkon uderzył pocisk z granatnika, i jego wybuch zabił p. D.

W chwilę po tym nieszczęśliwym wydarzeniu Niemcy rozpoczęli odwrót zabierając swych rannych, a dwóch najciężej poranionych pozostawili pod opieką mieszkańców, którym pozwolili wrócić do budynku. ZIMOWE LEŻE stało się „ziemią niczyją”, ponieważ powstańcy nie zajęli go z powrotem. Rannych opatrywano, o ile dobrze pamiętam pod kierownictwem p. S., posiadającej sporo wiedzy medycznej. Już nie pamiętam, czy sąsiad, felczer p. Dk., którego mieszkanie było przy drugiej klatce schodowej, uczestniczył w akcji opatrywania rannych¹⁵. P. S., mówiąca lepiej po niemiecku niż po polsku, opiekowała się rannymi Niemcami. Niepewność dalszego losu była bardzo przygnębiająca. Noc przebiegła w niepokojącym spokoju, zakłócanym sporadycznymi wystrzałami artyleryjskimi i odległymi seriami z broni maszynowej.

Rano przez zakład fryzjerski i mieszkanie p. Z. weszli żołnierze niemieccy, pod dowództwem oficera. Pytali, czy w budynku są powstańcy („*bandyty jest?!*”). Otrzymali odpowiedź w języku niemieckim od p. S., że powstańcy już wczoraj opuścili dom, a wczoraj po próbie wysiedlenia mieszkańców budynku przez żołnierzy niemieckich, powstrzymanej ogniem moździerzowym, pozostało dwóch rannych żołnierzy niemieckich, a jeden z nich jest oficerem. Dowódca patrolu zażądał doprowadzenia do rannych Niemców. Pani S. zaprowadziła go do piwnicy, gdzie leżeli ranni. Ranny oficer niemiecki ucieszył się na widok żołnierzy niemieckich, i ich dowódcy, któremu złożył relację z opieki, którą został obdarzony przez Polaków – mieszkańców domu, którzy resztki posiadanej wody poświęcili na ich obmycie, opatrzyli ich rany i opiekowali się nimi, jak w szpitalu, że należy im się za tę ludzką postawę wobec nieprzyjaciela uznanie. Oficer, dowódca patrolu zwrócił się do p. S., że te dobre uczynki zostaną mieszkańcom domu uwzględnione przy ewakuacji, która jednak nie może być odwołana, ponieważ nie leży to w uprawnieniach dowództwa niemieckiego w Warszawie. Po opuszczeniu domu przez niemiecki patrol p. S. opowiedziała nam treść rozmów prowadzonych po niemiecku, prosząc o przekazanie ich dalej. Przygotowując się do ewakuacji oczekiwaliśmy na żołnierzy niemieckich. Podobnie jak my, sąsiedzi pakowali bagaż ręczny, stosownie do swego przekonania o ważności przedmiotów osobistego użytku i świadomości ograniczenia bagażu na pieszą wędrowkę. Mama przygotowała torby, które mieliśmy zabrać z sobą. Jedna szczególnie ważna zawierała kosztowności i pieniądze owinięte bielizną damską, w innych była bielizna na zmianę i środki zachowania higieny osobistej. Mama rozdzieliła torby między nas. Mnie przypadła spora torba z sucharami z wyschniętego pieczywa. O ile zapamiętałem – mama miała zabrać torbę z kosztownościami, drugą z bielizną i osobistą torebkę, babcia tylko swoją osobistą torebkę a Jurek walizkę ze swymi rzeczami osobistymi i babcie. Tak przygotowani oczekiwaliśmy na żołnierzy niemieckich, którzy zarządzą ewakuację i pokierują nią, jak obiecał niemiecki oficer, dowódca patrolu, który przed upływem krótkiego czasu opuścił nasz dom.

13 W rzeczywistości, tylko z nich nosiła nazwisko H., była matką p. H., zawodowego oficera WP, który zginął w Katyniu, natomiast druga babcia „H.” była jego teściową.

14 Jedna babcia miała zawsze przy sobie różaniec, który czasem odkładała obok siebie.

15 Mógł być zmobilizowany jako powstańca, albo opiekować się rannymi w rejonie, w pobliżu miejsca zamieszkania.

Ale zdarzyło się inaczej, niż przewidywaliśmy, po zapewnieniu niemieckiego oficera. W pewnej chwili przez mieszkanie p. Z. wpadli do domu „ukraińcy”. Ich okrzykiem: „*alle raus!*”, towarzyszył wrzask: „*wsie paszli wont!*”, i inne wyrazy ruskiego pochodzenia, oraz wystrzały. Na szczęście niecelne może dlatego, że byli bardzo pijani, i rozpoczęli grabież piwnic. Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń ruszyliśmy w ustalonym przez mamę ordynku w stronę mieszkania i piwnicy stryja Mietka, która znajdowała się obok schodów prowadzących do wyjścia na ul. Poczobutta z pierwszej klatki. Z nami uciekało przed wrzaskami i strzałami „ukraińców” wielu sąsiadów. Usłyszeliśmy też za nami wybuchy granatów. Zdyszani dobiegliśmy do piwnicy L., informując rodzinę i sąsiadów o zagrożeniu ze strony pijanych „ukraińców”. Wtedy Lusia, córka stryja Mietka, widząc, że mamy z sobą tylko małe pakunki, zdziwiła się, że zostawiliśmy w piwnicy na pastwę losu przetwory owocowe, które według niej należało koniecznie zabrać. Postanowiła wybrać się po nie, i zanim zdołaliśmy ją powstrzymać, znikła wśród następujących za nami uciekinierów przed „ukraińcami”. Po chwili Jurek postanowił pobiec za nią i ją zawrócić. Mimo protestów mojej mamy, a jego ciotki, pozostawił swoje pakunki i ruszył za Lusią. Gromadka uciekinierów z północnej części budynku, która gromadziła się przy wyjściu z korytarza piwnicznego na ul. Poczobutta, stale rosła a wrzaski „ukraińców”, którym towarzyszyły strzały, wybuchy granatów i krzyki przerażonych i chyba porażonych mieszkańców, uciekających przed nimi, przybliżały się. Wtedy babcia zaniepokojona o los dwojga wnuków: Lusi i Jurka postanowiła ruszyć po nich. Wcisnęła mi w rękę swoją torebkę, i zanim mama zdążyła ją powstrzymać znikła w gromadzie uciekinierów, wśród których wkrótce pojawili się „ukraińcy” z okrzykami: „*alle raus!*” i „*wsie paszli wont!*”, którym towarzyszyły pojedyncze strzały i rozpaczliwe krzyki mieszkańców. To „zaproszenie” do opuszczenia budynku, któremu towarzyszył strzał, usłyszeliśmy również z góry, z klatki schodowej. Byliśmy więzi „w dwa ognie”. Opuszczenie budynku bez towarzystwa „ukraińców” okazało się niemożliwe, musieliśmy wyjść z piwnicy. Złapaliśmy nasze bagaże i ruszyliśmy, za młodym małżeństwem¹⁶. Pierwszy szedł mąż, za nim żona z małym dzieckiem (chyba niemowlęciem) na ręce. Za nimi szliśmy my, moja mama i ja. Na klatce, na poziomi ulicy przy otwartych drzwiach stało dwóch „ukraińców”. Po lewej stronie żołnierz z karabinem przy nodze, a z prawej strony, chyba oficer, z pistoletem w dłoni, którym tłukł po głowie jednego z dwóch przygarniętych młodzieńców – pomocników Pana Majora, a po każdym ciosie przykładał mu pistolet do skroni, ciągnął za spust, a gdy pistolet nie wypalił znów walił go pistoletem w głowę. Gdy dotarliśmy do połowy schodów padł strzał, który trafił w głowę p. Cz., powodując jego upadek. Odniosłem wrażenie, że strzał padł z dołu, z korytarza piwnicznego, gdyż tam widziałem „ukraińca” z pistoletem w ręce. Widziałem dziurę w głowie p. Cz. i wypływ krwi z rany. P. Cz. zatrzymała się z krzykiem rozpacz. Matka popchnęła ją silnie, wołając: „mężowi już pani nie pomoże, niech pani ratuje dziecko!”. Pani Cz. usłuchała, ale brak jej było energii, matka więc ją popychała w pokonywaniu schodów. Szedłem za matką. Pamiętam, że w tym tragicznym krótkim marszu było dla mnie bardzo ważne, może nawet najważniejsze, aby nie nadepnąć na nieruchomo leżącego p. Cz. Gdy wyszliśmy na klatkę, na poziom ulicy między obu „ukraińców”, ten z pistoletem przestał nim walić po głowie swą ofiarę i skierował pistolet w górę i zaczął strzelać. Dostrzegłem, że z mieszkania na parterze wyszedł nieznany mi mężczyzna z powstańczą opaską na ręce, prowadzący dwoma rękami małych chłopców, który upadł w wyniku pistoletowych strzałów „ukraińca”. Mimo słabego oporu „ukraińca” z karabinem, który wspólnie pokonały matka i p. Cz., wybiegliśmy na ul. Poczobutta, kierując się w stronę ul. Sierpeckiej, a za nami biegł pokrwawiony ciosami pistoletu młodzieniec – pomocnik Pana Majora. „Ukrainiec” z karabinem zdążył jeszcze wystrzelić z niego niecelnie w naszym kierunku. Gdy dobiegaliśmy do rogu ul. Sierpeckiej schyliliśmy się, a nad naszymi głowami ułożyła się seria z broni maszynowej na ścianie budynku po przeciwnej stronie ul. Poczobutta. Gdy wybiegliśmy na ul. Sierpecką, wówczas piaszczystą, goniły nas, na szczęście niecelne, serie z broni maszynowej (chyba strzelano z naszego podwórka), które układały się na piachu, wzniesając kurz. Gdy dobiegaliśmy do budynku SPÓŁDZIELNI SKARBOWCÓW, z którego Niemcy wyprowadzali mieszkańców, ogień przeniósł się w górę i poraził jednego z żołnierzy niemieckich. Niemcy wystrzelili rakietę i ogień ustał. Gdy doszliśmy do SKARBOWCÓW, Niemcy dołączyli nas do mieszkańców tego

16 Byli to państwo Cz. Wtedy nie znałam ich nazwiska. Dopiero później od matki dowiedziałem się o ich nazwisku. W tych wspomnieniach posługuję się tym nazwiskiem, poznanym dopiero po wypadkach przeze mnie opisywanych.

budynku, a panią Cz., jej dzieckiem i chłopcem z głową poranioną ciosami pistoletu zajęły się siostry czerwonego krzyża, podobno szwajcarskiego, ubrane w szare, dwuczęściowe uniformy z dużymi znakami czerwonego krzyża i szare, śmieszne czapeczki. Niemcy kierowali kolumnę wysiedlonych w stronę budynków WSM, obok których przeszliśmy po ich prawej stronie. Dotarliśmy do sporego placu, na którym pozwolono nam usiąść na ziemi. Na nim w niewielkim oddaleniu od nas stała grupa niemieckich oficerów prowadząc rozmowę. Wśród nich był chyba najwyższy rangą oficer z monoklem w oku, ubrany w mundur galowy, w odróżnieniu od pozostałych oficerów w uniformach polowych. Na plac ten zaczęli przybywać wysiedleńcy z ZIMOWEGO LEŻA. Patrzyliśmy pilnie, czy babcia, Lusia, Jurek i stryjenka Michalina, która nie wychodziła z piwnicy bezpośrednio za nami, dołączą do nas. Niestety nie dołączyli. Natomiast wśród wysiedleńców z ZIMOWEGO LEŻA pojawiły się babcie H., prowadzone przez sąsiadów. Gdy dostrzegł je ów elegancki wysoki rangą oficer niemiecki wysłał żołnierza, aby je do niego przyprowadził. Sądziliśmy, że zarządzi jakąś opiekę nad nimi. Gdy w asyście żołnierza obie starszki stanęły przed nim, popatrzył na nie, i nie wyciągając monokla z oka, wyjął pistolet, i kolejno zastrzelił je strzałami w czoło, a następnie zarządził usunięcie zwłok z przed jego oblicza. Wyraz twarzy babci H., która przeżyła o sekundy pierwszą zamordowaną, był wyrazem zdziwienia pomieszanego z przerażeniem świadomością nadchodzącej zagłady, tkwił w mej pamięci długo, wiele lat, aż do czasu, w którym zatarty się w mej pamięci rysy twarzy ludzi, których później już nie spotkałem, ale do dziś pamiętam, że taki straszny wyraz pojawił się na jej twarzy tuż przed tragiczną śmiercią. Być może ten przerażający zbrodniczy czyn w pretoriańskim łbie tego wyelegantowanego mordercy był aktem miłosierdzia, który miał uchronić obie starszki przed dolegliwościami wypędzonych.

W nas obojgu, w mojej mamie i we mnie ta okrutna zbrodnia oprócz przerażenia i potępienia wzbudziła też niepokój o los naszej babci, czy jeszcze ją żywą zobaczymy. Okazało nie, że obawy te na nasze szczęście nie spełniły się.

Po odpoczynku i zebraniu się dużej, chyba kilkuset osobowej grupy ruszyliśmy pieszo w drogę, jak nas poinformowano na Dworzec Zachodni. Zanim wyszliśmy z Żoliborza minął nas odkryty samochód osobowy z białą chorągwią niewielkich rozmiarów, którym jechali panowie ubrani po cywilnemu ale z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Kierowcą był cywil też z opaską powstańczą na rękawie. Samochód był eskortowany przez motocykle z uzbrojonymi żołnierzami niemieckimi. Domyśliliśmy się, że to dowódcy Powstania na Żoliborzu, jadą na rozmowy kapitulacyjne z Niemcami.

Dzień był słoneczny i gorący. Doskwierały nam upał i pragnienie. Szliśmy, mając w sąsiedztwie ludzi nieznanymi, ponieważ różne było tempo marszu poszczególnych wygnańców, zależnie od ich kondycji i obciążenia dobytkiem. Doszliśmy do dzielnicy, którą matka rozpoznała jako Wola, twierdząc jednak, że nie rozpoznaje ulicy. Szliśmy środkiem jezdnii wśród usypisk gruzów z całkowicie albo częściowo zniszczonymi domami. Napotykałiśmy na zwęglone zwłoki ludzkie. Gdy przechodziliśmy koło niecałkowicie zniszczonego domu wyszli nam na spotkanie żołnierze z tacami, na których stały szklanki z wodą. W języku, który był mieszaniną niemieckiego, polskiego i rusycyzmów zapraszali do częstowania się, a gdy ręce wygnańców sięgały po szklanki, ręce żołnierzy nie obciążonych tacami zrywały z rąk wygnańców zegarki i biżuterię. Gdy z palca jednej z pań nie dało się bandycie w mundurze zerwać pierścionka i obrączki, wyjął bagnet, aby obciąć jej palec. Wyrwała mu rękę i pośliniła palec, a następnie zerwała obrączkę i pierścionek i rzuciła je na ziemię. Została wciągnięta w tłum sąsiadów marszowych, dla ochrony przed agresją rozwścieżonego żołdaka.

Gdy później, dwa a może trzy kilometry dalej taka prowokacja wobec nas powtórzyła się, z taką różnicą, że żołdacy, którzy częstowali wodą mówili do nas dziwną polszczyzną, różną od gwary warszawskiej¹⁷. Ale okazało się, że nie było już wśród nas spragnionych.

Do Dworca Zachodniego, dotarliśmy późnym popołudniem, a może nawet lepiej tę porę dnia określić jako wczesny wieczór. Tam umożliwiono nam krótki odpoczynek i wodę już bez haraczu oraz

¹⁷ Kilka lat później, gdy poznałem Ślązaków, również takich, którzy przymusowo służyli w Wehrmachcie, okazało się, że była to gwara śląska. Ślązacy, których poznałem byli ludźmi bardzo przyzwoitymi i uczciwymi. Miałem i jeszcze trochę mam wśród nich przyjaciół. Ale w każdej ludzkiej nacji są parszywe owce i przestępcy.

skorzystanie z ustępów już bardzo zanieczyszczonych. Tam też okazało się, że mama w pośpiechu zabrała torbę z bielizną a podobna do niej torba z bielizną oraz kosztownościami i pieniędzmi pozostała w piwnicy. Jednak zabiegom dostarczycieli wody w szklankach, oparł się mamy złoty kosztowny zegarek na rękę, który przez cały nasz marsz błyszczał w słońcu, jakby demonstrując swą wartość dla ewentualnego rabusia, i złota obrączka ślubna na palcu. W torebce mamy było trochę pieniędzy obiegowych w Generalnej Guberni.

W niedługim czasie popędzono nas na peron przy, którym stał pociąg z wagonami – węglarkami. Niemieccy żołnierze, kazali nam do nich wchodzić. Zapełnialiśmy kolejne wagony. Nie było nawet ścisku, gdy asystujący przy tej operacji kolejarze zamykali drzwi zapełnionego wagonu. Na sąsiednim torze na wagonach, zwanych lorami, były umieszczone czterolufowe działka szybkostrzelne wraz z niemieckimi załogami. Gdy już ściemniło się, działka zaczęły strzelać długimi seriami w górę do niewidocznych dla nas celów, prawdopodobnie radzieckich samolotów. Na niebie układały się sznury kolorowych światełek. Ale nie widać było żadnych skutków tej strzelaniny, która po kilku minutach ustała. Gdy nasz pociąg ruszył, znów działka odezwały się. Podobnie jak poprzednio, ogień ten okazał się niecelny i ustał podobnie jak poprzedni.

Pociąg jechał niezbyt szybko. Po upływie około godziny, wjechał do wysokiej obszernej hali, jednej z hal, w których zainstalowano przejściowy obóz w Pruszkowie dla wygnańców z Warszawy. Po zatrzymaniu się pociągu kolejarze otworzyli drzwi wagonów w asyście niemieckiej straży obozowej, i kazano nam opuścić je. Straż obozowa, kazała nam zająć miejsca na podłodze słabo oświetlonej hali, na której leżała warstwa czegoś, co prawdopodobnie kiedyś było słomą. Ta wyściółka był poprzegradzana alejkami o szerokości ok. 2 – 3 metrów, odsłaniających betonową podłogę, i dzieląca podłogę hali na sektory, które już były częściowo zaludnione wygnańcami. Zajęliśmy miejsce w pobliżu alejki i trzymając mocno w rękach nasze torby zaczęliśmy drzemkę przerywaną krzykami straży obozowej oraz biesiadowaniem pcheł na naszych ciałach, powodujących konieczność drapania się, a słabe światło uniemożliwiało walkę z tymi „gryzoniami”. Tak przebiegała pierwsza nasza noc poza, jak się nam wtedy wydawało, komfortową piwnicą ZIMOWEGO LEŻA.

Ranek nie przyniósł istotnej poprawy oświetlenia, gdyż okna hali nie dawały wystarczająco a wygaszono równie słabe oświetlenie elektryczne. Po drugiej stronie alejki dostrzeżliśmy sąsiadów z ZIMOWEGO LEŻA. Była to p. K. z dwoma córkami Basią¹⁸ i Milią, oboma nieco starszymi ode mnie. Pani K., której mąż, oficer Wojska Polskiego został zamordowany w Katyniu, była naszą sąsiadką przez ścianę, chociaż jej mieszkanie znajdowało się na szóstej klatce schodowej. Moja mama i p. K. nie rozmawiały z sobą. Nigdy nie dowiedziałem się, o co poróżniły się, ale przypuszczam, że była to błaha sprawa „honorowa”. Obie panie, siedzące po obu stronach alejki obozowej, nie podjęły kontaktu. Po rozwidnieniu się cywilna służba w asyście Niemców rozpoczęła rozwożenie w kotłach napoju, który nazywali kawą. Każdemu dawano półlitrowy blaszany emaliowany kubek, już poobijany i nalewano do niego prawie czarną ciecz, ciepłą i słodką sacharynową słodyczą. Do tego napoju wyciągnąłem suchary z mojej torby dla siebie i mamy, i zaczęliśmy je łamać, moczyć w „kawie” i jeść. Rzuciły mi się w oczy spojrzenia na nasz posiłek Basi i Mili K. Zrozumiałem, że są głodne, a już poprzedniego dnia głód i pragnienie nam doskwierały. Już nie pamiętam, czy z własnej inicjatywy aprobowanej przez mamę, czy popchnięty przez nią, ruszyłem z torbą z sucharami do obu dziewczynek, które przyjęły poczęstunek z podziękowaniem, a nasze mamy padły sobie w objęcia, co zapoczątkowało ich dozgonną przyjaźń, która niestety okazała się krótka, ponieważ p. Zula K. w kilka lat po wojnie zmarła na raka. Okazało się, że obie panie mają bardzo podobne usposobienie, wzajemną życzliwość dla siebie i ludzi oraz chęć wspólnego pokonywania kłopotów nowej rzeczywistości.

Po tym wspólnym posiłku zajęliśmy miejsca po jednej stronie alejki. Dostawy „kawy” powtórzyły się jeszcze raz a może nawet dwukrotnie. Już nie pamiętam, czy druga noc w Pruszkowie była ostania, czy spędziliśmy tam jeszcze jedną noc. Po ostatniej nocy w obozie strzegący nas żołnierze niemieccy, kazali nam wychodzić przed bramę hali. Znów usłyszeliśmy „*alle raus!*”. Za bramą formowano z nas

18 Nie jestem pewien imienia Basia, starszej z sióstr K., pamięć jest zawodna, ale to imię będę w tych wspomnieniach używał.

kolumnę, w której w szeregach poprzecznych stało po kilka osób. Dowiedzieliśmy się z komunikatu w języku polskim, że odbędzie się selekcja, która ma wyłonić osoby do pracy w Reichu i osoby, które będą mogły zamieszkać w Generalnej Guberni. Mama i ja oraz p. Zula z córkami stanowiliśmy taki szereg poprzeczny. Ja, któremu w ciągu dwóch miesięcy wakacyjnych przybyło nieco wzrostu, a należałem wśród rówieśników do chłopców wysokich, i Basia, która już bardziej wyglądała na dorastającą panienkę niż na dziewczynkę, byliśmy narażeni na odłączenie od rodzin i skierowanie na roboty do Reichu. Gdy dochodziliśmy do miejsca selekcji, prowadzonej przez Niemców, słychać było krzyki rozpaczy ludzi z rozdzielanych rodzin. Gdy już dochodziła nasza kolej, Basia i ja, przyczailiśmy się za naszymi mamami i podkurczyliśmy nogi, w sposób, który wydawał się nam skutecznie utrudniający selekcyjnerowi ocenę naszego wzrostu.

Udało się! Nasza piątka została zakwalifikowana do zamieszkania w GG i skierowana do wyjścia na peron, gdzie stał pociąg dla nas. Znow były to odkryte węglarki, ale tym razem znajdowała się w nich kilkucentymetrowa warstwa mialu węglowego, co jednak wszyscy pasażerowie uważali za lepsze niż Reich. Byliśmy ostrzeżeni po polsku, że każdy próbujący ucieczki z pociągu będzie zastrzelony bez ostrzeżenia. Rzeczywiście w pierwszym i ostatnim wagonie widoczni byli żołnierze niemieccy na podwyższonych platformach uzbrojeni w broń maszynową.

Pociąg zapełniał się powoli, a w wagonach upychano warszawskich wygnańców tak, że w zasadzie były głównie miejsca stojące, a mial węglowy nie zachęcał do siadania na nim, tym bardziej, że zaczął siać słaby deszczyk. Po zamknięciu wagonów przez kolejarzy w niemieckiej asyście pociąg wreszcie ruszył, i rozpoczął jazdę z niewielką, jak nam wydawało się, prędkością. Zapadała ciemność i deszcz nasilał się. Powstała kolejka do miejsc przy ścianach wagonów, ponieważ miejsce do stania przy ścianie zapewniało podparcie imitujące odpoczynek. Na podłodze powstało szybko czarne błoto, ponieważ szczeliny w drzwiach wagonów nie zapewniały odprowadzania wody z siąpiącego deszczu. Zaczęły się ludzkie problemy wydalnicze, w zasadzie dotyczące głównie oddawania moczu, czemu sprzyjało namakanie odzieży. Był to problem ponieważ ściany węglarek miały wysokość przekraczająca półtora metra. Wysusianie się bez pomocy współpasażerów było niemożliwe. Najmniej problemów było z małymi dziećmi, ponieważ przytrzymywanie ich podczas tej czynności poza wagonem nie sprawiało trudności osobom o odpowiednim wzroście.

Ta noc była szczególnie ciężka dla mojej mamy, chorej na serce, po przebyciu ciężkiej operacji w roku 1937. Zupełnie opuściła ją energia okazana przy naszej ucieczce z ZIMOWEGO LEŻA. Pani Zula podtrzymywała mamę w pozycji stojącej, a ja oraz Basia i Miła oddawaliśmy mamie, część naszego czasu stania przy ścianie wagonu, gdy przypadała na nas kolejka. Mimo to bardzo popuchły jej nogi. Ranek przyniósł poprawę pogody. Deszcz ustał i pojawiło się słońce. Na jakiejś stacyjce, jeszcze bardzo wczesnym rankiem, pociąg został skierowany na boczny peron, przy którym zatrzymał się. Za peronem rosły krzaki i był płot z betonowych płyt. Pozwolono nam wychodzić z wagonów i skorzystać z krzaków dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Okazało się, że te krzaki służyły już do tego naszym poprzednikom. Przez megafon uprzedzono, że każdy, kto spróbuje ucieczki zostanie zastrzelony. Do tego „WC” wypuszczano ludzi kolejno z poszczególnych wagonów, otwierając wrota następnego, gdy ludziska z poprzedniego wagonu wrócili do niego. W pewnej chwili na peronie zobaczyłem moją babcie, która szła wzdłuż wagonów, szukając nas. Zawołałem do niej i po chwili wraz z mamą rozmawialiśmy z nią. Okazało się, że nic jej nie wiadomo o losie Jurka i pozostałych L. Ucieszyła się, że znalazła nas. Oddałem jej torebkę. Kontakt był krótki, ponieważ musiała wrócić do „swojego” wagonu.

Pociąg ruszył, gdy zaspokoiono potrzeby ludzi ze wszystkich wagonów, poganianych przez niemiecką eskortę („*schnell, schnell!!*”), i wagony znow zapełniły się. Po krótkiej jeździe pociąg znow zatrzymał się. Kazano nam opuścić wagony i przez megafon poinformowano, że pójdziemy w kolumnach do urzędu, gdzie w kenkartach wstemplują nam zezwolenia na pobyt w GG z wyłączeniem Warszawy. Wraz z panią Zulą i jej córkami i babcia znaleźliśmy się w pierwszej kolumnie. Ruszyliśmy pieszo w drogę za przewodnikiem, granatowym policjantem. Kolumna była strzeżona przez otaczających ją niezbyt gęsto żołnierzy niemieckich i granatowych policjantów. Kolumna rozsypała się szybko ponieważ zmęczeni wygnańcy nie byli w stanie utrzymać jednolitego tempa marszu. W tej sytuacji babcia z panią

Zulą i jej córkami poszły przodem, a ja i mama pozostaliśmy w tyle. Wyprzedzali nas ludzie z kolejnych kolumn. Były chwile, w których nie było przy nas ludzi. Mama miała gorączkę i wypieki na twarzy oraz bardzo spuchnięte nogi. Zaczęła nawet majaczyć, informując mnie o tym, co za chwilę zobaczymy na drodze. Mnie również wydawało się, że idziemy drogą niegdyś poznaną, ponieważ napotykalismy realnie to, co rysowało się poprzednio w naszej wyobraźni. Jak się okazało, droga ta wiodła do wsi, w której babcia spędziła dzieciństwo, i gdzie chodziła do szkoły¹⁹.

Wreszcie dotarliśmy do wsi, w której była kancelaria, która miała nam wydać zezwolenia na pobyt w GG. Czekala tam na nas babcia, w towarzystwie koleżanki z dzieciństwa i pani K z córkami. Nie wiem już jak, obie starsze panie rozpoznały się. Jednak dzięki tej babcinej koleżance, wkrótce moja mama uzyskała w swej kenkarcie, do której ja byłem też wpisany, wpis zezwolenia na pobyt w Generalnej Guberni. Babcia i pani Zula też już miały takie wpisy. Już dobrze nie pamiętam, kto nas w tej wiosce napoił i nakarmił, czy rodzina babci koleżanki, czy RGO²⁰. Nie pamiętam, czy w tej wsi, i ewentualnie gdzie, nocowaliśmy, czy po odpoczynku ruszyliśmy dalej do Skarżyska Kamiennej, gdzie mieliśmy tymczasowo zamieszkać pod adresem, wskazanym przez babci koleżankę. Nie pamiętam też jak odbyliśmy podróż do Skarżyska, pociągiem czy furmanką.

W Skarżysku zamieszkaliśmy w 6 osób (mama, babcia i ja oraz pani Zula z córkami) w drewnianym domu, w jednym sporym pokoju, wyposażonym w łóżka, sienniki, stół, krzesła oraz miednice na stołkach i wiadra na czystą i brudną wodę. Wodę czerpaliśmy ze studni, a w ogródku domek z serduszkami był do naszej dyspozycji. Życzliwi gospodarze, jak twierdziły mama i pani Zula, umożliwili korzystanie z kuchni i naczyń bez problemów, a opłata była dostosowana do naszych możliwości finansowych. Chociaż było siermiężnie, ale pobyt w tym siedlisku przywrócił nam spokój i konieczny do pogodzenia się z nową sytuacją życiową.

Po oporządzeniu się i doprowadzeniu garderoby i obuwia do stanu normalnej używalności oraz po ustaleniu możliwości finansowych, po zebraniu wszystkich pieniędzy, jakimi dysponowano, obie panie: mama i pani Zula, wybrały się w podróż. Mama do Radomia w celu nawiązania kontaktów ze znajomymi ojca z czasów jego pracy w Banku Polskim, a pani Zula do miejscowości podwarszawskiej, gdzie mogła liczyć na pomoc rodziny. Młodzież została pod opieką babci w Skarżysku. Po dwóch a może trzech dniach obie nasze mamy powróciły z dobrymi wiadomościami. Mojej mamie udało się sprzedać zegarek za niezłą cenę, i znaleźć miejsce zamieszkania w Radomiu, gdzie mogła liczyć na pomoc znajomych ojca, a pani Zula znalazła miejsce zamieszkania blisko Warszawy i pomoc rodziny w zarobkowaniu.

Rozstaliśmy się z panią Zulą i jej córkami, i pojechaliśmy pociągiem do Radomia, gdzie na ulicy Gołębiowskiej zamieszkaliśmy w willi, będącej własnością wdowy po pracowniku Banku Polskiego i okupacyjnego Banku Emisyjnego, oficerze rezerwy Wojska Polskiego, który za służbę w AK został skazany przez okupanta na śmierć przez ścięcie, a ona musiała zapłacić za wykonanie wyroku przez kata. Gospodyni miała córkę, starszą ode mnie, uczennicę drugiej a może nawet trzeciej klasy tajnego żeńskiego gimnazjum ogólnokształcącego. Dzięki kontaktom gospodyni stałem się uczniem pierwszej klasy tajnego gimnazjum męskiego.

Pod koniec roku dołączył do nas wujek Tadeusz L. wraz z synem Jurkiem, który zgubił się nam podczas wypędzania z domu. Odnalazł nas dzięki PCK, gdzie matka przekazała informację miejscu naszego pobytu i wniosek o poszukiwanie ojca. Radość z tego spotkania zakłóciła wiadomość o śmierci Janka, kaprała AK, starszego syna wujka i brata Jurka, który zginął w pierwszym dniu Powstania, zastrzelony przez Niemców podczas mobilizacji powstańców²¹. Obaj, wujek i Jurek zamieszkali z nami, w oddzielnym pokoju, wskazanym przez gospodynię. Wkrótce musieliśmy ścieśnić się w małym pokoiku i kuchni, ponieważ wszystkie większe pokoje zajęli żołnierze niemieccy – artylerzyści, których działa, sławne 88, były ustawione na placu sportowym po drugiej stronie ulicy.

19 Czyżby memy dziedziczyło się?

20 Rada Główna Opiekuńcza, polska organizacja charytatywna, działająca od 1940 r. w Generalnej Guberni za zgodą okupacyjnych władz niemieckich.

21 Wujek Tadeusz skłamał. Później po latach dowiedzieliśmy się, że Janek został rozstrzelany dnia 2 sierpnia przez Niemców.

Tak zakończyło się moje bierne uczestnictwo w Powstaniu Warszawskim. Zakończył się pierwszy warszawski etap mojego życia. Do Warszawy, miasta mojego urodzenia i dzieciństwa powróciłem na stałe dopiero w 1967 roku.

Straty ludzkie, które poniosła moja rodzina w Powstaniu, to zaginięcie mojego ojca, śmierć bratanka mamy (Jana L.), śmierć stryja mamy (Mieczysława L.) i jego syna (Jerzego L.), utrata zdrowia, skutkująca niezdolność do pracy najmłodszego brata matki (Jerzego L.)²², który z obozu w Pruszkowie trafił do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a stamtąd został przepędzony pieszo do obozu koncentracyjnego w Buchenwald. Straty te, powstańcze, były poprzedzone śmiercią mojego stryja Zdzisława w Oświęcimiu, który znalazł się tam w pierwszej grupie Polaków tam osadzonych i zgładzonych. Wobec tych strat, straty materialne (wyposażenie mieszkania, ubrania i dokumenty rodzinne), chociaż dotkliwe, bo stwarzały konieczność nauczenia się życia w warunkach wielu ograniczeń, ale nie były istotne wobec strat członków rodziny oraz sąsiadów i znajomych.

Ale do najgorszej spuścizny tragicznych przeżyć należały u mnie, i jak sądzę u wielu Polaków, nękająca pamięć o tragicznych wydarzeniach oraz nienawiść do Niemców i wszystkiego co niemieckie. Widok zwłok zabitego niemieckiego żołnierza, sprawiał mi radość tym większą, im bardziej były one poszarpane. Gdy po zajęciu Radomia, gdzie mieszkaliśmy, czerwonarmiejcy ustawiali w śniegu na kilkunastostopniowym mrozie niemieckich jeńców, którzy musieli zdjąć buty i płaszcze, i rzucić je na stos, z radością na to patrzyłem. A gdy wśród nich dojrzałem żołdaka, który mojej siwiuteńkiej babci rzucał menażki do wyszorowania, z przykazaniem „*aber schnell*” odczułem dziką satysfakcję. Gdy dostrzegłem, że jeden z tych żołnierzy jednak zachował buty i płaszczy, zapytałem radzieckiego oficera, który mówił po polsku, o przyczynę tego wyróżnienia, odparł, że ten jeńiec to Polak, siłą wcielony do Wehrmachtu, który zgłosił się do Wojska Polskiego, a tam nie można przekazać sojusznika bez płaszcza i butów. W szkole średniej nie wybrałem języka niemieckiego, w którym dzięki sąsiadce p. S., poczyniłem podczas okupacji niezłe postępy (podstawowa konwersacja, czytanie nie zrozumieniem tekstów niemieckich i pisanie w tym języku, również gotykiem), a wręcz starałem się zapomnieć już opanowane podstawy tego języka, co niestety udało mi się.

O ile tragiczne przeżycia wojenne z biegiem lat zacierały się, to nienawiść zapisała się w podświadomości na długo, i dopiero spojrzenie na historię i aktualny bieg wydarzeń, oraz wpływ mądrych ludzi, uświadomił mi, że w każdej nacji są ludzie gotowi do popełniania okrutnych zbrodni, wśród moich rodaków także, powoli ta nienawiść z mojej podświadomości wygasła. Gdy byłem już dorosły, przestałem reagować negatywnie na to, co jest niemieckie, a nie jest związane z hitlerowskim nacjonalizmem.

Jak wiele osób, które przeżyły Powstanie Warszawskie, unikałem dzielenia się wspomnieniami. Wielu żołnierzy Powstania, zatajało swój udział w nim nie tylko przed władzami, ale także przed otoczeniem, obawiając się terroru stalinowskiego, który ówczesny Urząd Bezpieczeństwa stosował do wszystkich akowców. Ale po roku 1956 ten terror już im nie groził, a oni nadal niechętnie wracali do powstańczych wspomnień, unikając tego tematu. Przez co najmniej jeden rok szkolny siedziałem w jednej ławce szkolnej w 1 Państwowym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika w Łodzi z Andrzejem Ziemowitem Zimowskim, który obecnie jest znanym łódzkim literatem. O tym, że obaj przeżyliśmy Powstanie, jako bierni jego uczestnicy, od dnia jego wybuchu do dnia wypędzenia z Warszawy przez obóz w Pruszkowie, dowiedzieliśmy się dopiero już jako starsi panowie, gdy po znalezieniu na poczcie internetowej mojego adresu e-mail przez Andrzeja Z. wymieniliśmy się wspomnieniami o naszych losach po zdaniu matury w 1950 roku. Andrzej Ziemowit Zimowski napisał i wydał w roku 2014 książkę pt. „POWIEDZ MI DLACZEGO – Opowieść z Ubiegłego Stulecia – Lata 1939 – 1945”. Przesyłając mi autorski egzemplarz tej książki z dedykacją dla mojej żony i dla mnie, skłonił mnie do napisania tych wspomnień. Wtedy jednak jako uczniowie średniej szkoły żyliśmy teraźniejszością oraz przyszłością, która nas czekała, którą staraliśmy się sobie zorganizować. Sądzę, że

22 Imię Jerzy było częste u męskich członków rodziny L.

inni, w tym Powstańcy, również jak my koncentrowali się wokół chwili obecnej i przyszłości, co powodowało ich niechęć do dzielenia się przykrymi wspomnieniami.

Nie szukałem kontaktów z ludźmi, którzy przeżyli Powstanie w ZIMOWYM LEŻU. Przypadkiem spotkałem w Szkole Szybowcowej w Jeżowie Sudeckim koło Jeleniej Góry, Radka Dk., syna felczera, sąsiada z ZIMOWEGO LEŻA. Radek, wtedy już lekarz wojskowy, sprawował medyczną opiekę nad grupą pilotów wojskowych – oficerów skierowanych do tej Szkoły na szkolenie na szybowcach. Radek już czekał na to spotkanie ze mną, ponieważ po zapoznaniu się z moją żoną, która w tej Szkole pracowała jako instruktor, miała szkolić jego podopiecznych, dowiedział się skąd wzięło się jej nazwisko Pazio. Ja wtedy pracowałem jako instruktor lotniczy w Aeroklubie Jeleniogórskim, i do Szkoły w Jeżowie przyjechałem w jakiejś służbowej sprawie, gdzie przypadkowo spotkałem Radka. Następną osobą była żona starszego kolegi z Centralnego Zespołu Lotnictwa Sanitarnego w Warszawie p. Plenkiewiczowa, spotkana w Augustowie na obozie kondycyjnym pilotów, która towarzyszyła mężowi, Kazimierzowi Plenkiewiczowi, znanemu szybownikowi międzywojennej Polski, inspektorowi szybownictwa LOPP²³, który w czasie Wojny był pilotem i instruktorem lotniczym RAF, oraz oblatywaczem szybowców desantowych produkowanych w Wielkiej Brytanii, a także organizatorem i pilotem polskiej grupy pilotów ferry²⁴, w stopniu kapitana, a później w Polsce, pilotem w cywilnym lotnictwie sanitarnym. Podczas rozmowy o czasach wojennych pani ta wspominała swoje przeżycia w ZIMOWYM LEŻU, i życzliwość dla niej Mieczysława L., który pomógł jej w rozwiązaniu okupacyjnych kłopotów. Zdziwiła się bardzo, gdy oznajmiłem, że jestem stryjecznym wnukiem Mieczysława i cały okres Powstania przeżyłem jak ona w ZIMOWYM LEŻU. Ale oboje niechętnie wspomnieliśmy tamte czasy.

Gdy doszedłem do wieku, w którym świadomość, że ma się już coraz mniej przyszłości, a przeszłość już nie wróci realnie, można tylko ją pamiętać, sięgnąłem do wspomnień. Wraz z żoną wspominaliśmy nasze wspólne dzieje, naszą pracę w lotnictwie, w Kraju i w Afryce. Okazało się, że są luki w pamięci i przekłamania. Różnie zapamiętaliśmy wydarzenia, które były naszym udziałem.

Przypadkiem natrafiłem na możliwość skontaktowania się z koleżanką ze szkoły powszechnej, do której uczęszczaliśmy od 4 do 6 klasy. Udało się nam nawiązać kontakty i porozmawiać o naszym dzieciństwie. Od niej dowiedziałem się, że okupacyjne nazwisko naszej ulubionej nauczycieli p. Stefy to Milewska, a z domu Jankowska (córka lekarza wojskowego, zamordowanego w Katyniu). Drażąc Internet znalazłem informację o losach jej i jej męża. Oboje polegli dnia 1 sierpnia 1944 roku niemal o tej samej godzinie w różnych miejscach Warszawy. Ona (pseudonimy „Stefa” i „Mewa”) w Śródmieściu na ul. Żelaznej, w drodze do swego oddziału na Mokotowie, on (Józef, pseudonim „Żużo”, podporucznik) na Mokotowie, jako dowódca plutonu, podczas ataku na niemieckie koszary w szkole przy ul. Kazimierzowskiej na rogu Narbutta. Oboje nosili prawdziwe, małżeńskie nazwisko Jungnikiel. Znalazłem też miejsce ich wspólnego grobu na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, który już odwiedziliśmy z żoną i koleżanką z Ostaszewskiej.

Okazało się, że w tej samej alejce jest grób pana Władysława B., dozorca naszego ZIMOWEGO LEŻA, a faktycznie jego dobrego gospodarze, kamienny i zadbane, a niemal naprzeciwko jego grobu jest grób Jerzego D. Nie wiem tylko, czy leży tam p. D., który zginął po wyratowaniu babć H., ponieważ na tablicy jest tylko informacja, że podczas Powstania zginął na Żoliborzu, bez wskazania daty i miejsca.

Przed kilku laty, na rodzinnym spotkaniu L. z „przyległościami”, w którym uczestniczył również kolega Janka L., powstaniec warszawski, dowiedziałem się, że Janek nie zginął w akcji, przenoszenia broni, ale został dnia 2 sierpnia 1944 r. rozstrzelany, wraz ze wszystkimi mężczyznami z domu – miejsca zbiórki drużyny AK, którą dowodził. Już pierwszego dnia powstania, gdy drużyna nie zdążyła jeszcze zebrać się, ulica została otoczona przez żołnierzy jednostki Luftwaffe, która w pobliżu miała koszary. Na drugi dzień wygoniono mężczyzn z willi, która była miejscem zbiórki powstańców, (o czym prawdopodobnie dowiedziały się władze okupacyjne) i rozstrzelano ich z karabinu maszynowego. Zwłok

23 Liga Obrony Przeciwpowietrznej i Przeciwgazowej, działająca w Polsce w dwudziestolecu międzywojennym, masowa organizacja paramilitarna, która prowadziła lotnicze przysposobienie wojskowe w 50 szkołach i ośrodkach i 5 szkołach pilotów samolotowych oraz dokonywała zakupów szybowców i samolotów, wspierała też polski przemysł lotniczy.

24 Piloci ferry – to piloci, którzy wykonywali przeloty dostarczając samoloty z lotnisk fabrycznych po ich budowie albo remoncie.

nie pozwolono pochować, a na zwłokach Janka umieszczono tablicę informującą o rozstrzelaniu bandytów. Wujek, ojciec Janka, żołnierz Wojny Bolszewickiej i obrony Warszawy w 1939 r., chyba uważał, że prawda o „darmowym” oddaniu życia, przez syna Janka – patriotę i żołnierza z powołania, była straszna dla wszystkich jego bliskich, ponieważ Janek w ostatniej chwili swego życia musiał mieć świadomość, że ginie jako bezbronna ofiara a nie jako żołnierz w walce. Wujek nie chciał widocznie, aby ta straszna prawda dotarła do jego bliskich.

Już po przemianach w roku 1956 (po tzw. odwilży), gdy przestano prześladować powstańców, i innych żołnierzy AK, zaczęła upowszechniać się prawda o Powstaniu Warszawskim, ale niestety niecała. Z jednej strony było bezprzykładne bohaterstwo żołnierzy Powstania a drugiej doprowadzenie do największej w dziejach Narodu Polskiego i Polskiego Państwa kłęski militarnej, która w najmniejszym stopniu nie przyczyniła się do zwycięstwa koalicji antyhitlerowskiej nad Trzecią Rzeszą. Bilans strat był tragiczny: straty polskie to około 200 do 250 tys. ludzi zabitych. Ale wtedy powstała legenda o wyjątkowej skuteczności militarnej powstańców, co miało wyrażać się w porównywalnych stratach bojowych w zabitych tj. 20 tys. do 20 tys. Później okazało się, że siły niemieckie straciły w zabitych nieco ponad 2 i pół tysiąca zabitych tj. jeden pułk i pół batalionu piechoty, wedle ówczesnych standardów. Około 20 tys. zabitych powstańców to prawie trzy dywizje piechoty.

Gdy porównamy łączne straty polskie (powstańcy i ludność cywilna) i hitlerowskie, to stosunek jest sto do jednego. Była to więc największa polska kłęska militarna w historii. Czy było to zwycięstwo moralne? Czy wpłynęło na przebieg II Wojny Światowej? Czy ta cierpiętnicza, masochistyczna demonstracja mogła zmienić jałtańskie ustalenia Sprzymierzonych odnośnie stref wpływów wielkich mocarstw, wedle których powojenna Polska znalazła się w strefie wpływów radzieckich? Był ten fatalny masochizm, przerzucony z decydentów, którzy wyszli obronną ręką z tej zawieruchy, na wielotysięczne ofiary ich fatalnej decyzji.

Zainteresowanym przyczynami wybuchu Powstania oraz jego losami i skutkami radzę poczytać na STRONIE PRZECIWNİKÓW KULTU SPRAWCÓW POWSTANIA WARSZAWSKIEGO – NIEZNANE KULISY KATASTROFY POWSTANIA WARSZAWSKIEGO różne opinie uczestników i badaczy Powstania (<http://www.powstanie.pl/>).

Rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego powinna być dniem żałoby narodowej oraz refleksji nad podejmowaniem ważnych decyzji dla Narodu i Państwa Polskiego. Powinna też być wyrazem hołdu dla bohaterskich Powstańców Warszawskich i sprawiedliwej negatywnej oceny dla decydentów, którzy nie tylko oszukali podwładnych im żołnierzy, że walczą z Niemcami, a wywołali Powstanie przeciw Związkowi Radzieckiemu²⁵, państwu, którego armia było jedną z głównych sił Sprzymierzonych, ale podjęli decyzję o rozpoczęciu walki bez uzgodnienia jej ze Sprzymierzonymi „zachodnimi” i „wschodnimi”, którzy w istniejącej sytuacji strategicznej mogli podjąć jedynie nieskuteczne, ale powodujące znaczne ofiary, demonstracje wsparcia.

Muszę jeszcze dodać moją refleksję, na temat nie tylko bezsensu decyzji o rozpoczęciu walki, a także o fatalnym jej przygotowaniu. Pisząc ten tekst poczytywałem książkę pt. O JEDEN MOST ZA DALEKO, autorstwa Corneliusa’a Rayan’a o operacji “Market – Garden” (lubię wracać czasem do książek dawno przeczytanych), o kłęsce Sprzymierzonych na froncie zachodnim. Akcja ta została przeprowadzona w czasie, gdy krwawiło Powstanie Warszawskie. O ile Powstanie nie miało sensu strategicznego dla rozprawy z III Rzeszą, a mogło mieć wpływ negatywny, gdyby marszałek Rokossowski podjął zdobycie Warszawy z uszczuplonymi siłami, i poniósł kłęskę, to udana operacja Sprzymierzonych w Holandii mogła przyczynić się do przyśpieszenia kłęski Wermachtu, miała więc sens strategiczny. Jednak obie operacje militarne zostały fatalnie zaprojektowane. U obu planów legło zlekceważenie możliwości militarnych „już pobitego z kretesem wroga”, zlekceważenie danych wywiadu i zwiadu na temat rzeczywistych sił wroga i planowanie operacyjne bez uwzględnienia realiów.

25 Powstanie Warszawskie zostało włączone do akcji Burza, która była zaplanowana i wykonywana jako działania AK, opanowywania miast opuszczanych przez Wermacht i inne niemieckie siły okupacyjne, aby Armia Czerwona wkraczała na tereny wyzwolone i opanowane przez AK.

Obie operacje militarne były źle dowodzone. Powstanie Warszawskie od samego początku (przyśpieszenie mobilizacji sił powstańczych, a następnie odwołanie rozpoczęcia akcji, co doprowadziło do ujawnienia wobec Niemców, wielu miejsc mobilizacji, oraz doprowadziło do zmiany planu rozpoczęcia działań z nocy na dzień) a „Market Garden” niemal od samego początku. W obu też przypadkach obarczono winą za niepowodzenie obu akcji militarnych Polaków: zachodniej – generała Sosabowskiego, który zwracał uwagę na niedoróbki planowania taktycznego, a następnie nie był w stanie wykonać wadliwych rozkazów mimo wysiłków jego i jego żołnierzy, a wschodniej – marszałka Rokossowskiego, przez którego dowodzony Front Białoruski był wtedy w konfrontacji ze świeżymi siłami Wehrmachtu zdolny jedynie do obrony swych pozycji a nie do ofensywy, na skutek braków ludzkich i materiałowych, a do tego Rokossowski miał nad sobą Żukowa, (z którym utrzymywał bardzo szorstką przyjaźń) – szefa sztabu Armii Czerwonej i Stalina, który cenił jego fachowość, ale nie lubił Polaków.

Rehabilitacja gen. Sosabowskiego na Zachodzie, pojawiła się we wspomnianej książce pt. O JEDEN MOST ZA DALEKO i w filmie pod tym samym tytułem. Niestety władze wojskowe tzw. rządu londyńskiego uległy naciskom brytyjskim, i nie podjęły obrony Generała. Polska rehabilitacja gen. Sosabowskiego nastąpiła dopiero po odwilży w roku 1956. Po latach również Brytyjczycy przyznali się do błędów i zwrócili honor gen. Sosabowskiemu.

Marszałkowi Rokossowskiemu, bohaterowi i jednemu z najwspanialszych dowódców II Wojny Światowej, propagandziści zarzucili bezczynność w ratowaniu Powstania, jakby zapominając, że miał on nad sobą władzę, której podlegał w podejmowaniu decyzji, a ponadto sytuacja militarna frontu wschodniego, uniemożliwiała mu kontynuowanie ofensywy bez istotnego wzmocnienia sił Frontu Białoruskiego, a to zależało od sztabu Armii Czerwonej. Podczas spotkania z nim marszałek Montgomery, jeden z odpowiedzialnych za klęskę operacji „Market Garden”, już w momencie powitalnego uścisku dłoni zmierzył od stóp do głów Rokossowskiego, po czym, powiedział tak: „Taki sławny. Jeszcze młody, a takiej zadyszki dostał pod Warszawą”. Ale gdy zreflektował się swym nietaktem, tak ocenił gen. Rokossowskiego: „Od początku tej wielkiej wojny Anglicy śledzili, jak rosły wspaniałe kadry dowódcze Rosji. Jednym spośród pierwszych nazwisk, z którym się zapoznałem, było nazwisko marszałka Rokossowskiego. Niezależnie od komunikatów radiowych punktowały jego wspaniałe szlak moskiewskie saluty. Ja sam przebiłem sobie drogę przez Afrykę i uczestniczyłem w wielu bitwach. Myślę jednak, że to, co osiągnąłem, nie dorównuje temu, co osiągnął marszałek Rokossowski. Wznoszę toast za marszałka Rokossowskiego.”

Polskie przysłowie głosi, że klęska jest sierotą, a zwycięstwo ma wielu ojców. Znalezienie fałszywych ojców klęski, takich przysłowiowych chłopców do bicia, czy inaczej kozłów ofiarnych, osłania niestety, często skutecznie, rzeczywistych jej sprawców.

Andrzej Pazio

